

RW2010

DAWID JURASZEK



Cairen DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą...
miałby na imię Cairen!

DAWID JURASZEK
CAIREN DRAPIEŻCA

Oficyna wydawnicza RW2010, Poznań 2012
Korekta: Joanna Śłużyńska, Maciej Śłużyński
Redakcja techniczna: zespół RW2010
Copyright © Dawid Juraszek 2012
Okładka Copyright © Tomasz Golec
zdjęcie na okładce © jgphoto76 / Fotolia.com
Copyright © for the Polish edition by RW2010 2012

wydanie I

ISBN 978-83-63111-92-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Stara gwardia

– ...do grobowca przeniesiono najprzedniejsze narzędzia, najkosztowniejse precjoza i najrzadsze przedmioty. Z nefrytu, pereł i wszelakich drogocennych kruszców odtworzono obraz świata, gdzie wielkie rzeki płyną ciekłym srebrem, popychanym cudownymi maszynami ku morzu. Na stropie perły nieśmiertelne oddają znaki gwiazdne, a słońce i księżyc z metali szlachetnych ruszają się jak po prawdziwym nieboskłonie. Rzemieślnicy wykonali kusze i strzały zmyślne a czujne, zaś mistrzowie sztuk inne jeszcze zabiegi podjęli, które zgładzić miały każdego, kto do grobowca wejdzie i zakłóci spokój Cesarza...

Oczy namiestnika płonęły, kiedy młody czungijski sługa po raz setny odczytywał znaki skreślone przed wiekami na bambusowych deszczułkach. Tym razem jednak sługa się zagapił.

– Dość! Przeczytaj jeszcze raz, ale tylko do nieboskłonu.

Chłopak pokłonił się i jął recytować tekst od początku. Pradawną kronikę trzymał w dłoniach tylko dlatego, że potężny Mengut lubił ceremonie.

Gabinet namiestnika Ragana był osobliwym amalgamatem czungijskiej kunsztownej elegancji i menguckiego żywiołowego niechlujstwa. Lakowane biurko stało w morzu baranich skór, służących nomadzie za posłanie, w donice z uschłymi drzewkami wbito włócznie, a malowane jedwabne parawany pod ścianami ustawiono tak, by prostokątne pomieszczenie przypominało owalną jurkę. Sam Ragan nosił się z mengucka bez względu na pogodę; co gorsza, od przyjazdu do okręgu Xingchang nie zmienił kaftana z cienkiego futra, ograniczając się tylko do okazjonalnego narzucania na wierzch jedwabnej szaty. Tym nomadzkim zwyczajem nastręczał sporo problemów podwładnym, którzy rekrutowali się głównie spośród zdegradowanych czungijskich urzędników, ale nie zwracał na to uwagi. Zwłaszcza że jeden sługa nauczył się znosić odór bez marszczenia noska.

– Wystarczy, Feng. – Namiestnik podniósł dłoń. Chłopak pokłonił się ponownie i z ledwo skrywaną ulgą odłożył ciężką kronikę. Pamiętał, jak pierwszy raz przekładał ją pod okiem szefa ze starochińskiego na mengucki. Dziś tekst obaj znali już na pamięć. – Dostałem wiadomość, że chan Burudaj przyjedzie do Xingchangu wcześniej, niż planowano. To oznacza, że musimy przyspieszyć wyprawę. Jeśli Dwie Bliźny zdecyduje się oddelegować mnie gdzie indziej, nigdy już nie zbliżę się do tych skarbów!

Oczy Ragana znów zajaśniały, ale tym razem zimnym płomieniem. Feng już dawno nauczył się, że kluczem do przeniknięcia duszy nomady są oczy. I właśnie dzięki swojej przenikliwości jako jedyny z czungijskich urzędników podbitego miasta cieszył się względami namiestnika.

Ale nie tylko dlatego.

– Idź do Yasara, niech ten tuerski pies zrobi dziś, co miał zrobić jutro – Ragan sięgnął po dzban kumysu i pociągnął słusny łyk. – Niech obleci wszystkie karczmy, szynki i zamtuzy w mieście i znajdzie tylu awanturników gotowych udać się na wyprawę, ile miał palców na prawej dłoni, nim zadarł ze mną. – Zaśmiał się. – A potem przyjdź do mnie.

Feng skinął głową i oddalił się posłusznie.

Herbaciarnia „Pod Brzoskwiniową Gałązką” była szacownym przybytkiem już tylko z nazwy. Najstarsi mieszkańcy Xingchangu pamiętali jeszcze, jak po zygzakowatym moście do drewnianego piętrowego budynku pośrodku jeziora zmierzali najznamienitsi urzędnicy i uczeni. Pod pomarańczowym, wywiniętym na rogach dachem rozbrzmiewał podówczaś śpiew wilg, a nad aromatyczną herbatą toczono dysputy o poezji, malarstwie i historii.

Kiedy miasto, jak i całą Północną Czungię, zajęli barbarzyńcy, lokal ocalał, ale zmieniła się klientela. Xingchang uniknął losu sąsiedniego Yangrangu, który do końca nie chciał poddać się nomadom; kiedy horda sforsowała wreszcie mury, oszczędzono tylko rzemieślników. Do dziś w Xingchangu opłakiwano wymordowanych sąsiadów, lecz po cichu dziękowano Niebiosom, że miasto dostało przykład i czas do namysłu. Menguci docenili gest mieszkańców Xingchangu i kiedy wreszcie wjechali przez usłużnie otwartą główną bramę, oszczędzili zarówno ludzi, jak i budynki. W następnych jednak latach krok po kroku zastępowali wpływowych Czungów swoimi ludźmi: Mengutami, Tuerami i innymi barbarzyńcami.

Stary czungijski właściciel herbaciarni zmarł wkrótce po proklamowaniu Imperium Menguckiego. Przybytek przejął kaleki setnik czerczeński, przekształcając go w przystań dla wszystkich zabijaków ściągających do nomadów w nadziei na łupy i sławę. Dziś zamiast herbaty królowała tu mleczna wódka, a ptasi trel zastąpiły szpetne klątwy.

Z gwarnej ludzkiej szumowiny zgromadzonej „Pod Brzoskwiniową Gałązką” wyróżniał się jeden człowiek. Pośród mniejszych mętów prym wodził zwałisty Tuer w porwanej kolczudze, głośno opowiadający o swoich walkach pod na poły legendarnym Wielkim Chanem. Słysząc było też czungijskiego renegata, sapera z malowniczą blizną po wybuchu na twarzy, wkupującego się w łaski nomadów donośnym rechotem i koślawą menguccyzną. Wszelako każdy, kto wchodził do przybytku, mimowolnie kierował wzrok w kąt sali, gdzie nad dzbankiem siedział młody olbrzym o jasnej skórze, płowej grzywie, długim nosie i zdumiewająco okrągłych zielonych oczach.

Blondyn miał na sobie mengucką kurtę i spodnie do konnej jazdy. Ciasny ubiór tylko podkreślał jego nadludzkie gabaryty. Takiego barbarzyńcy jeszcze w Xingchangu nie widziano. Przybył do miasta z zachodnich rubieży kilka tygodni temu i póki co zdążył dostać posadę wykidajły. Za dzban kumysu i kawał żyłastej baraniny siedział

cały dzień w herbaciarni i samym wyglądem zniechęcał najtwardszych rębajłów do demolowania już i tak na wpół zrujnowanego lokalu.

Tuerski wojownik walnął pięścią w stół. Pusty dzban spadł na podłogę, pękając z brzękiem.

– Omer zdusi cię jak pluskwę!

Zapalczywiec złapał jednego ze słuchaczy za szyję i bez wysiłku podniósł prawie pod sam sufit. Nieszczęśnik wił się jak wąż, jego wierzgające nogi strącały na ziemię resztę dzbanów. Siedzący nieszczęśliwie naprzeciwko bywalec spadł z ławy w ślad za swoimi okrwawionymi zębami.

– Cairen? – Do świadomości olbrzyma dotarło wołanie właściciela. Nomada wymownym gestem zgruchotanej dłoni wskazywał Tuera. – Od dawna siedzą przy pustych dzbanach, a teraz jeszcze rozrabiają. Mam ci mówić, co robić?

Blondyn podniósł się niechętnie. Głowę miał dziwnie lekką od złopanego bez przerwy trunku.

Zaciekawione spojrzenia i zapadła nagle cisza dały Omerowi jasno do zrozumienia, że ściągnął na siebie uwagę wykidajły. Miał już jednak zbyt mocno w czubie, by próbować załagodzić sytuację. Pchnięciem potężnego ramienia posłał podduszonego człeka na podłogę i odwrócił się, dobywając szabli.

Mylił się, sądząc, że blondyn, jak wszyscy nie-nomadzi pod rządami tychże, nie nosi broni. Kontakty czerczeńskiego właściciela wciąż sporo znaczyły.

– Znikaj, pókim dobry – warknął Cairen z mieczem w garści.

Wojownik tylko wyszczerzył zęby i podniósł wzrok na kanciaste oblicze górującego nad nim wykidajły.

– Szczerb po pojedynkach ma Omer na czerepie więcej, niż ty zmarszczek na twarzy, młokosie. – Splunął. – Myślisz, że pod Wielkim Chanem nie szlachtował większych od ciebie dziwadeł?

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Cairen, szybciej niż jaszczurka chwytła niebacznego owada, machnął mieczem i zdzielił Tuera płazem w skroń. Jednak cios, który dla zwykłego człowieka skończyłby się utratą przytomności, tylko rozwścieczył krewkiego mężczyznę. Z gniewnym rykiem rzucił się na olbrzyma.

Właściciel mógł jeno załamywać ręce, a klienci tłoczyć się w drzwiach lub skakać przez okna. Stoły szły w drzazgi, kurz sypał się ze stropu, iskry krzesane klingami groziły zaproszeniem ognia, gdy starły się dwa muskularne cielska i dwa szermiercze kunszty. Spomiędzy zaciśniętych warg dobiegały sapliwe klątwy, spod jasnej i ciemnej czupryny skapywał pot.

Powoli jednak blondyn jął zdobywać przewagę. Przewyższał przeciwnika tężyzną, ale też wypity przezeń kumys był słabszy i pożywniejszy niżli mleczna wódka. W oczach Omera pojawiło się zwątpienie. Nie szarżował już, stąpał ostrożniej, oszczędzał siły. Nagle wskoczył tyłem na ostatni wciąż cały stół i wyprowadził zdradziecki cios. Ostrze o włos minęło czaszkę Cairena, ścinając płowy kosmyk. Tuer barkiem wypchnął okno, stanął na parapecie, ruchem stopy przewrócił stół i podstępnie cisnął w młodziana szablą. Cairen uskoczył, a wojownik odbił się i krusząc dachówki, dał susa. Po chwili z zewnątrz dobiegł plusk. Cairen ruszył do wyjścia, zamierzając dopaść uciekiniera, ale powstrzymał go kwaśny ton Czerczena.

– Miałeś pozbyć się jednego hulaki, a nie wyganiać wszystkich. Nie będziesz dostawał jadła, póki nie odpracujesz zniszczonych stołów, rozbitej zastawy...

Cairen gniewnie machnął mieczem. Rozpłatanе powietrze załkało, połówki pechowej muchy spadły na podłogę. Zielone oczy przewiercały niewdzięcznika na wskroś, a grube wargi już rozwierały się, by szpetnie przekląć, kiedy ktoś otworzył drzwi.

Był to Tuer, ale inny, wzrostem niemal dorównujący Cairenowi. Potężne ciało okrywała droga mudzilińska kolczuga, smagłą twarz okalała misiurka zwieńczona turbanem, przy zdobnym pasie wisiała szabla. Na głowicy wsparł trójpalczystą dłoń;

miejsce po palcach środkowym i serdecznym zionęło pustką. Choć stał nieruchomo, widać było drżącą w nim siłę i doświadczenie zdobyte w ciągu wielu lat wojen. Cairen poczuł respekt.

– Jest robota – rzekł wojownik, taksując młodziana baczным wzrokiem. Miał głęboki, spokojny głos. – Komu śmierć niestraszna, obłowić się może tak, że po kres żywota na wino i dziewczki mu starczy.

Cairen spojrzał w chłodne oczy, jakże odmienne od nabiegłych krwią wściekłych ślepi tamtego Tuera. Potem obejrzał się na właściciela i z brzękiem cisnął broń na podłogę.

– Szukaj sobie innego wykidajły – mruknął i odwróciwszy się, skinął nowemu pracodawcy głową.

Było jeszcze ciemno, kiedy Cairen zbliżył się do Północnej Bramy. Jak większość pozbawionych stałego meldunku awanturników przespał noc w miejskim parku, nad brzegiem cuchnącego bajora, a niegdyś ukwieconego stawu, którego ozdobne ryby dawno już w żalosnym stanie opuściły układy trawienne miejskiej biedoty. Szczęśliwie nie padało; większość pawilonów potrzaskano na opał, a pod nielicznymi drzewami, zbyt grubymi, by dało się je połamać, amatorzy darmowego noclegu leżeli pokotem. Kilka razy budziły Cairena krzyki napadanych i mordowanych. Do czuwającego nawet we śnie olbrzyma żaden z parkowych rabusiów nie ośmielił się podkraść.

Miał stawić się rankiem na północ od miasta, tam, gdzie do Białej Rzeki, łagodnym zakolem omijającej zachodni kraniec Wzgórz Śniącego Smoka, wpadał beziemny strumień. Wolał jednak być na miejscu wcześniej. Tak na wszelki wypadek.

Yasar, Tuer, który złożył mu był propozycję, niechętnie dzielił się szczegółami przedsięwzięcia. Cairen musiał zadowolić się informacją, że niejaki Wang, dawny prominent czungijski, chce odnaleźć rodzinny grobowiec w dole rzeki, a w obawie

przed bandytami potrzebuje zebrać własną bandę. Czemu jednak zbiórkę wyznaczano na północ od miasta, jak liczna będzie drużyna, ile czeka ich dni drogi ani co właściwie znajduje się w grobowcu, tego Cairen nie zdołał się dowiedzieć.

Bramy Xingchangu otwierano dopiero o wschodzie słońca, ale Cairen nie mógł czekać. Skradając się niczym lis, skręcił w drogę wiodącą wzdłuż muru. Po kilkudziesięciu krokach stanął przy jednym z domostw i bez trudu sięgnął do ceramicznych płytek wieńczących mur. Podciągając się, igrał z myślą o splądrowaniu posiadłości. Brudne czerwone lampiony na drzewach ogrodu oznaczały jednak, że mieszka tu rodzina czungijska, a tacy jak oni pod rządami nomadów nie byli łakomym kąskiem dla złodziei. Zresztą miał na oku większy skok.

Zdradliwa płytka pękła, ale zdołał ją złapać, nim upadła i narobiła hałasu. Choć o tej porze strażnicy, wyglądający już świtu, byli mniej czujni, wciąż należało zachować ostrożność.

Przykucnął na szczycie, a potem powoli się wyprostował. Miał przed sobą potężne mury miejskie, wzniesione setki lat temu z myślą o powstrzymaniu najeźdźców. Ciekawe, co powiedzieliby właściciele kości spoczywających pod ziemno-ceglaną konstrukcją, wiedząc, że ich potomkowie sami otwarli barbarzyńcom bramy.

Szczyt murów miał teraz na wysokości ócz, ale dzieliło go odeń ładnych kilka kroków. Wyprostował ramiona, przeciągnął się, wsłuchał w wiatr. Potrzebował każdego ułamka cala, każdego podmuchu.

Uderzając o mur, jęknął, ale ze złości raczej niż z bólu. Wciągając się na górę, nasłuchiwał, czy stukot płytek odpadłych pod naciskiem jego stóp nie zaalarmował strażników lub mieszkańców domostwa. Już na szczycie nie tracił czasu na rozglądanie się. Przebiegł pochylony na drugą stronę, przykucnął, bacząc, by nie stracić cuchnącego truchła przestępcy, wystawionego tu ku przestrodze, a potem zeskoczył.

Gdyby pas ziemi dzielącej mury od zgniłej fosy był o piędź węższy, runąłby do wody z głośnym pluskiem. Szczęśliwie zapadł w miękkie błoto i zamarł, nasłuchując czujnie.

Cisza.

Manewr przeszedł niezauważony.

Pokonując opór błota, zanurzył się w bajorze i powolnymi, miarowymi ruchami przepłynął fosę. Kiedy wygramolił się na brzeg, niebo po jego prawej ręce poczynало już jaśnieć. Musiał się śpieszyć. Spojrzał po raz ostatni na milczące mury Xingchangu, a potem puścił się truchtem przed siebie. Powietrze było rześkie, muskularne nogi niosły go lekko. Na widnokręgu, pośród blednącej ciemności, ścieleły się niepokojące kształty bezdrzewnych Gór Śniącego Smoka.

Przeklinając wybrane w pośpiechu miejsce, Cairen obserwował okolicę. Niecka pod szczytem skały oferowała bezpieczeństwo i panoramiczny widok, ale nie dość, że nic nie słyszał, to jeszcze niewiele poza ogólnym pejzażem widział.

W dolinie, z której do Białej Rzeki spływał strumień, zebrało się już czterech ludzi. Trzech przyszło jak blondyn piechotą, czwarty przygalopował na koniu. Niczego więcej olbrzym nie był w stanie dostrzec.

Zaszurały kamienie. Cairen cały zamienił się w słuch. Żwir mógł osunąć się samoistnie, ale lepiej było mieć się na baczności. Sięgnął do cholewy po sztylet.

Powietrze drgnęło w sposób, który kazał blondynowi napiąć mięśnie i odwrócić się w przykłęku z bronią w garści.

Ostrze szabli błyszczało o cal od jego twarzy.

– Napatrzyłeś się?

To był Yasar, uzbrojony po zęby. Trzy palce pewnie dzierżyły rękojeść szabli, u boku miał drugą, nad biodrami pasy z nożami, a na plecach mengucki łuk.

– Musiałem się upewnić – mruknął Cairen.

– Wstań.

Posłusznie wykonał polecenie.

– Oddaj sztylet.

Cairen zagryzł zęby, ale oddał broń. I tak Tuer już by go zabił, gdyby tylko chciał.

– Na dole dostaniesz szablę i konia. – Wojownik schował szablę do pochwy, sztylet rzucił olbrzymowi z powrotem. – Chodźmy.

Czwórka na dole dojrzała ich dopiero, kiedy w dolinę zaczęły spadać kamienie. Cairen sapnął gniewnie, w jeźdźcu rozpoznawszy Omera. Zdziorny Tuer też z daleka poznał oponenta i całą postawą okazywał, że tylko czeka na pretekst.

Ale Yasar nie dał im okazji do wyrównania rachunków.

– Póki jesteście pod moją komendą, póty nie będę tolerował żadnych waśni. Kto zacznie, ten skończy pod moją szablą.

Omer zmełł w ustach przekleństwo, ale i on czuł przed potężnym krajanem respekt.

Yasar gwizdnął i stanął w wyczekującej pozie. Cairen odwzajemnił ciekawskie spojrzenia towarzyszy.

Tylko on oraz krępy brzuchacz, wyglądający na przybysza z półwyspu Goryo, nie byli nomadami. Poza nimi prócz dwóch Tuerów w bandzie znaleźli się też chudy, acz wysoki Jugur oraz pozbawiony znaków szczególnych Mengut. Z ubiorów reprezentowane były zardzewiałe kolczugi, wytarty hanbok oraz nabijana ćwiekami utwardzona skóra.

Z głębi doliny dobiegł tętent. Spojrzeli w górę strumienia.

W chmurze pyłu, pomiędzy zielonych, porośłych trawą wzgórz, cwałowało sześć dorodnych koni czungijskiego chowu. Gdy wydawało się już, że stratują wojowników, zwolniły nagle i zatrzymały się o kilka kroków od zgromadzonych.

– Każdy w jukach znajdzie baranie skóry, suszone mięso, hełm i dobrą szablę. Są wasze. Traktujcie je jako zadatek na poczet przyszłych łupów. – Yasar wskoczył na grzbiet wierzchowca i ujął wodze. – Za mną. Pan Wang czeka na nas w górach.

– Nie mieliśmy szukać grobu w dole rzeki? – zapytał Cairen, chwytając stojącego najbliżej konia za uzdę.

Tuer spojrzał po zebranych.

– Czyhają już tam niektórzy z waszych znajomych – rzucił i skierował wierzchowca w górę strumienia.

Olbrzym odczekał, aż Omer, prowadzący nowego konia jako luzaka, ruszy za oddalającym się Yasarem, i dopiero wtedy podążył za nimi. Bez względu na ostrzeżenie przywódcy, w oczach pokonanego Tuera wciąż tlił się ogień. Cairen wiedział, że od teraz musi częściej niż zwykle oglądać się za siebie

– Kim jestem!

Grubas istotne pochodził z Goryo. Wedle własnych słów był niezrównanym włamywaczem, od lat brawurowo okradającym urzędy i grobowce, kupieckie składy i pałace. Wnosząc ze stanu odzieży i faktu, że zamiast w bogatych miastach wciąż broniącej się przed nomadami Południowej Czungii, tkwił w Xingchangu, był raczej pospolitym rzezimieszkiem. Tę jednak konkluzję Cairen zachował dla siebie.

– Żaden z niego „pan Wang”, nawet ślepy widzi, że to Mengut, i nie byle jaki. Wiesz, kto? – ciągnął niezdrowo podekscytowany Kim.

Siedzieli na łagodnym zboczu, w głębokiej dolinie nad wartkim potokiem. Niżej, wokół ogniska, w baranich skórach leżeli już Omer oraz Mengut o wdzięcznym imieniu Džede, i Jugur zwący się dźwięcznie Turghun. Cairenowi nie paliło się jednak do śmierdzącej baranicy, zwłaszcza że miał trzymać pierwszą straż.

Teraz pokręcił głową.

– Nie wiem.

– To Ragan, namiestnik z mianowania samego Wielkiego Chana! – Gorjończyk nachylił się do towarzysza i zniżył głos. – Widziałem go kiedyś, jak witał menguckich wysłańców. A przed nami usiłuje zgrywać Czunga. Wiesz, co to oznacza?

Cairen znów pokręcił głową.

– Że ma coś do ukrycia przed własnymi zwierzchnikami! Więc nawet jeśli nie przywieziemy z tej wyprawy ani miedziaka, to możemy sporo zarobić denuncjując go menguckim władzom! Albo jeszcze lepiej – szantażując!

Olbrzym spojrzał podejrzliwie na grubasa. To nie mógł być niezrównany włamywacz. Czy ktoś taki dzieliłby się z obcym wiedzą wartą fortunę?

– Widziałeś, jak odnosi się do swego czungijskiego sługi? – ciągnął konfidencjonalnie Kim. – Po co im ta jurta? – Machnął dłonią w kierunku ustawionego dalej niewielkiego namiotu. – Śmierdzący Mengut! U nomadów takie rzeczy karzą śmiercią!

Coś kazało blondynowi się odwrócić.

– Czas na pierwszą straż. – To był Yasar. – Kim, możesz towarzyszyć Cairenowi, ale trzecią wachtę i tak będziesz musiał odstać – rzucił beznamiętnie i zszedł do obozu.

Włamywacz mruknął coś i nie zwlekając, podreptał w ślad za Tuerem. W głowie obracał pewnie to samo pytanie, które zadawał sobie Cairen.

Czy Yasar słyszał?

I co teraz zrobi?

– Bezwartościowa szmata!

Ragan dał upust złości nieco głośniejszą, niż zamierzał. Gdyby wzrok miał właściwości zapalające, jedwabna mapa już buzowałaby wesoło. Ale nie należało ujawniać

przed zbieraniną zabijaków i szumowin, że mogą wcale nie dotrzeć do skarbu. Od tego był już tylko krok do uznania, że jedyne wartościowe przedmioty w tych jałowych wzgórzach mogą znajdować się przy „panu Wangu”. A wtedy kto wie, czy nawet Yasar dałby im wszystkim radę.

Cairen przygarbił się, przeczuwając, że lustrujący otoczenie Tuer wnet spojrzy w jego stronę. Niezwykły wzrost i wyostrzone zmysły blondyna pozwoliły mu dokładnie obejrzeć spłowiałą mapę i podsłuchać, o czym jest mowa, ale nie warto było się z tą wiedzą afiszować.

Feng kolejny raz ustawił mapę wedle słońca oraz geomancyjnego kompasu i niepewnym gestem skierował na siebie uwagę Ragana.

– Czcigodny namiestniku, tamte dwa wzgórza i strumień...

– Wiem – sucho przerwał Mengut i zbliżył się do krawędzi zbocza.

Dwa wzniesienia przypominające kobiece piersi oraz rzeczka płynąca między nimi niby wisiołek zgadzały się z mapą. Za nimi jednak miał być równy grzbiet prowadzący prosto na wschód, prawie do samego grobowca. Tymczasem w rzeczywistości wznosiły się tam górskie szczyty, tak wysokie, że trawa ustępowała na wierzchołkach skalnym rumowiskom.

Chociaż nie. Ragan wyteżył wzrok, próbując przeniknąć mgiełkę. Tym, co nadało kopulastym wzgórzom wygląd piersi, były stożkowe usypiska głazów. Spojrzał wyżej. Nie wszystkie gruzowiska na szczytach przypominały bezładne łaty; niektóre również były regularnymi, wysokimi kopcami.

Potrząsnął głową. Usypane przez ludzi czy nie, to bez znaczenia. Ważne, że mapa się nie zgadza.

Albo to nie te góry.

Odrzucił idiotyczną myśl i skinął na Yasara, stojącego między nim i Fengiem a znudzoną drużyną.

– Możemy jechać dalej wedle kierunku wyznaczonego przez mapę – mruknął potężny Tuer – albo zasięgnąć języka.

– U kogo? – prychnął Ragan. – W tej dziczy...

Zamilkł, podążając wzrokiem za ręką wojownika. Skryte we mgle zbocze po drugiej stronie doliny nie rzucało się w oczy. Wskazane, ujawniało swoją naturę.

Tarasowe pola.

Gdzieś w pobliżu znajdowała się wioska.

– Ruszamy! – błyskając białkami ocz zakomenderował Ragan i wskoczył na siodło. – Przed zachodem słońca musimy tam dotrzeć.

Tuer wydał polecenia jeźdźcom i wysforował się na czoło.

Ożywienie, jakie dało się zaobserwować u wszystkich nomadów, nie uszło uwadze Cairena. Nieraz był świadkiem plądrowania wiosek i wiedział, co potrafią zrobić ci bezwzględni wojownicy. Tylko on i Kim nie przejawiali ekscytacji.

Kim zresztą od wczorajszej rozmowy nie ekscytował się niczym, nie rozmawiał, nie spojrzał nawet na Cairena. Świadomość, że Yasar najprawdopodobniej ich podsłuchiwał, wisiała nad nim niczym ciemna chmura.

Olbrzym poczuł dreszcz podniecenia.

Orszak z namiestnikiem i jego sługą w środku jął zjeżdżać stromym zboczem ku dolinie. Przewodził Yasar.

Patrząc na szerokie plecy tuerskiego dowódcy, Cairen pomyślał, że konfrontacja jest nieuchronna.

Nie obawiał się jej.

Przeciwnie.

Czekał na nią.

U stóp tarasowego wzgórza wiła się zarosła kamienista ścieżka. Pola nie uprawiano od dawna, linie grobli rozmyła trawa. Szli stępą. Tu, nisko w dolinie, późnopołudniowe powietrze stało nieruchomo. Nad jeźdźcami górowały w ciszy ozłoczone wzniesienia.

Za zakrętem przy drodze wyrosła chata. A raczej ruiny chaty. Przejechali obok stosu zbutwiałego drewna, nawet nie zwalniając. Ale za kolejnym zakrętem czekała wioska.

Między tarasowymi polami pokrywającymi niskie wzgórza, wokół niewielkiego stawu, rozsiadło się kilkanaście krytych strzechą chat. Wątle nitki dymu świadczyły, że osada jest zamieszкана.

Yasar spał konia. Drużyna poszła w jego ślady, poprawiając lub zakładając hełmy. Trzeba było wyrzucić na wieśniakach odpowiednie wrażenie.

Mimo nadciągającego zmroku dostrzeżono ich z daleka. Na spotkanie jeźdźcom wyszedł starszy mężczyzna w niebarwionym konopnym kaftanie i słomianych łapciach, najpewniej wójt. Rzekł coś, co musiało być powitaniem, ale czego nikt z przybyszów nie zrozumiał.

– Szukamy cesarskiego grobowca – rzucił Ragan po mengucku. Nie próbował już nawet udawać „pana Wanga”. Feng w miejscowym dialekcie powtórzył jego słowa zakłopotanemu wójtowi. Nastąpiła wymiana zdań, po której starzec wyglądał na jeszcze bardziej zmięsanego.

– Nic nie wiedzą – streścił Feng.

– Niemożliwe – parsknął namiestnik i nachylił się do wójty, podnosząc głos. Jego oczy płonęły ledwo hamowanym gniewem. – Gdzie. Jest. Grobowiec. Cesarza. Mów!

Z chaty za plecami starca wysypała się rodzina: starsza kobieta, kilku mężczyzn w różnym wieku i dziewczę. Cairenowi nie umknęło, że jeźdźcy poruszyli się w sio-

dłach. Dziewczyna, choć prosto odziana, miała delikatne rysy i jasną cerę, nietypową u wieśniaczki. W tej jałowej dziczy emanowała pięknem niczym kwiat modrego lotosu na pustyni.

Jeden z mężczyzn mówił po czungijsku lepiej niż starzec. Na pytanie o grobowiec zdecydowanie pokręcił głową.

– Nic nie wiemy. Żyjemy tu spokojnie, siejemy i zbieramy dary ziemi. Nigdy nie było tu żadnego Cesarza.

Z chat zaczęli wychodzić wieśniacy. Większość z pustymi rękami, ale kilku trzymało motyki albo ukośnie ścięte bambusowe kije.

Namiestnik skinął na Yasara. Chwilę naradzali się szeptem. Potem Tuer dał znak Omerowi, Dżede i Turghunowi i znienacka spiąwszy konia, roztrącił ludzi na boki. Cała czwórka pomknęła w głąb osady.

– Chcemy obejrzeć waszą wioskę – głośno powiedział Ragan. – Jeśli istotnie niczego nie wiecie, zostawimy was w spokoju. Jeśli zaś coś przed nami ukrywacie – wyszarpnął szablę – będziecie musieli wszystko wyznać!

Feng powtórzył groźbę wysokim, drżącym z niepewności głosem. Cairen poczuł na plecach zimny dreszcz. Z twarzy wieśniaków bił strach, ale i dziwna determinacja. O ile to pierwsze widywał aż za często, to tego drugiego nie rozumiał.

Obok Kim sięgnął po szablę. Ręce mu drżały.

– Zostaw – syknął olbrzym. – Nie prowokuj ich niepotrzebnie.

Brzuchacz posłusznie znieruchomiał, ale dłoń trzymał na rękojeści.

– Niczego nie wiemy! – dobitnie odparł syn wójta. – Zostawcie nas w spokoju. Was jest kilku, a nas stu! – krzyknął nagle.

Cairen spojrzał po wieśniakach. Nie było ich stu. Może połowa z tego; wliczając starców i dzieci.

Narzędzia rolnicze przeciwko orężowi już nieraz splamionemu krwią.

Coś jęknęło w oddali. Olbrzym spojrzał w kierunku źródła dźwięku, kiedy coś jęknęło obok niego.

Nie coś.

Ktoś.

Kim zwał się na ziemię ze strzałą w piersi.

Cairen złapał za szablę i spojrzał w górę. Na dachu jednej z chat łucznik składał się do kolejnego strzału.

Ragan przelotnym spojrzeniem zaszczycił włamywacza, którego okazałe ciało przyjęło zwichrowaną strzałę wymierzoną w niego samego, i równie szybkim ciosem szabli odesłał starca na posadę wójta w Niebiosach. A potem sięgnął pod kaftan, wyjął sztylet i cisnął nim w wypuszczającego kolejną strzałę łucznika.

W powietrzu błysnął srebrny cień. Ciężka zajęczała, strzała wbiła się w piach pod chatą, by zaraz zniknąć, przykryta ciałem strzelca.

Tłum rzucił się gniewnie na najeźdźców, gdy wtem pod niebo wzniósł się krzyk, a potem płomienie. Zdezorientowani wieśniacy zaczęli oglądać się za siebie, na chaty, znad których dym pierzchał całymi kłębami.

A w Ragana wstąpił demon. Ten sam demon, który kazał jego krajanom porzucić północne stepy i razić ogniem i mieczem osiadłe ludy. Z pożarem w oczach, wrzeszcząc klątwy w barbarzyńskim języku, ruszył prosto w tłum. Jego klinga zbierała krwawe żniwo, gdziekolwiek ją skierował. A ofiar nie musiał szukać. Wieśniacy ogarnięci równym szaleństwem rzucali się na Menguta niczym fale przyboju na skałę, nie znużenie i tak samo daremnie.

Dwóch wieśniaków skoczyło z kijami do Fenga, w hełm Cairena uderzyły gradem kamienie. Zaklął i zasłonił przestraszonego chłopaka. Mężczyźni nie ulękli się jednak olbrzyma. Z pełnym nienawiści wrzaskiem pchnęli zaostrome bambusowe tuby ku jego twarzy.

Gdyby nie nadzwyczajny refleks, blondyn leżałby już na ziemi oblany szkarłatem. Z siłą i szybkością niedostępną zwykłym ludziom zakręcił szablą. Kije przecięte wpół spadły niegroźne między końskie kopyta, a płaz wybił napastnikom z głowy dalsze wybryki.

Kiedy jednak Cairen odwrócił się, by nakazać Fengowi ucieczkę ścieżką z powrotem, zobaczył tylko puste siodło. Rozejrzał się i zaklął. Chłopak leżał na ziemi w rozbitym hełmie i w kałuży krwi.

A Ragan był w swoim żywiole. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, wyrąbywał sobie drogę przez zbieraninę wieśniaków. Ich opór zaczął słabnąć. Nienawiść i desperacja nie dorównywały szalowi i umiejętnościom; lata urzędniczej posady nie zmięczyły mięśni ni kości nomady. Każdy krok jego konia kosztował czyjeś życie. A droga za nim robiła się coraz dłuższa. I uśmiech na twarzy miał coraz śmielszy, w oczach zaś coraz dzikszą dzikość.

Yasar uznał chyba, że jego panu przyda się asysta, bo w tłum wieśniaków stojących namiestnikowi na drodze jęły nagle spadać strzały. Słać je mógł tylko potężny Tuer, ale Cairen nie potrafił go nigdzie wypatrzeć. Wojownik musiał dysponować iście nadludzkimi umiejętnościami.

Cairen patrzył na chaos i pożogę ogarniającą wioskę i czuł pulsujący w nim gniew, który nie mógł jednak znaleźć ujścia. Zaciskał dłoń na główicy szabli, ale nie spinał konia. Gdyby pośród wieśniaków był jeszcze jeden łucznik, miałby olbrzyma jak na dłoni.

Nagle z głębi wioski wypadł Omer. Wciąż ciągnął za sobą darowanego luzaka. Tuerzy potrafili mordować bezlitośnie jak Menguci, ale zwykle brakowało im iskry dzikiego szalu, która cechowała tamtych nomadów. Omer wszakże posiadał ją za dwóch Mengutów. Z gardłowym rykiem tratował ludzi na swej drodze, podpalając mijane strzechy. Cała wioska stała już w ogniu. Płomienie na nowo oświetliły ogarniętą wieczorną szarością wzgórza.

Wtem Tuer przystopował, pochylił się, a potem porwał kogoś na siodło i skręciwszy w miejscu, pogalopował stromą ścieżką w górę zbocza.

W migoczącym świetle Cairen ujrzał białą dziewczęcą twarz.

Ścisnął boki konia i zostawiając za sobą płonącą wioskę, pocwałował za Tuerem.

Szybko zmniejszał dystans; kopyta zapadały się w błocie, podwójnie obciążony wierzchowiec Omera z trudem pokonywał wzniesienie. Tuer zaklął, kiedy zorientował się, że nie zazna z branką tête-à-tête. Bez ceregieli rzucił słodki ciężar w błoto i dobył oręża.

– Psie ścierwo! – ryknął. – Smak szabli Omera będzie ostatnim, jaki pocujesz! – Z tymi słowy zaszarżował.

Cairen lepiej usadził się w siodle i poprawił broń w garści. Miał większy zasięg ramion. Zamierzał to wykorzystać.

I wykorzystał.

Pędzący Omer nie zdążył dokończyć wyprowadzanego ciosu, bo zakończył życie pod ostrzem Cairena. Głowa wpadła z pluskiem w błoto, ciało stratowały kopyta luzaka. Oba konie zatrzymały się, jakby kontemplując śmierć właściciela, a blondyn złapał się za ramię. Krwawiło. Tuer był blisko.

Ujawszy linkę łączącą oba konie wojownika, Cairen ruszył w miejsce, gdzie leżała dziewczyna. Miał nadzieję, że wciąż żyje.

Nagle nad zboczem popłynął gwizd. Koń Cairena i luzak Omera zastrzygły uszami, a potem wykonały w tył zwrot i ruszyły do swego pana.

Na tle trawiących wioskę płomieni olbrzym dojrzał sylwetkę Yasara. Tuerski wojownik cwałował w górę zbocza, jak gdyby spod kopyt pryskały kamienie, nie błoto. Cairen daremno próbował okiełznać wierzchowca; by go powstrzymać, musiałby mu chyba wyłamać wędzidłem szczękę. Nie tracąc więcej czasu, ciął linkę, na której teraz luzak ciągnął opornego wierzchowca Omera, a potem zeskoczył, przeko-

ziołkował, w jednej chwili oblepiając się błotem, i złapał za uzdę zwalnającego rumaka.

Ledwo dosiadł zaskoczonych nieoczekiwanym ciężarem konia, usłyszał głos Tuera.

– Wracaj! Zabiłeś Omera, ale potrzebujemy cię. Przewodnika też. Dziewka może coś wiedzieć o...

– Prędeż się tu w błocie, niż będę służył pod tą świnią w psiej skórze! – Cairen splunął i zawrócił konia. – Chcesz dziewczki? Weź ją sobie! – Wzniósł szablę i błysnął oczyma spod jasnej grzywy.

Yasar znał się na ludziach. Nie tracił czasu na przekonywanie olbrzyma. Dźwignął tylko szablę i zaszarżował.

Wijące się tarasy pól ryżowych odbijały światło ognia trawiącego wioskę. W klingach Cairena i Yasara lśnił ten sam blask. Z dołu dobiegały krzyki mordowanych i mordujących. Ale obaj wojownicy nie słyszeli niczego poza krwią pulsującą im w skroniach.

Tuer nie walczył czysto. Tuż przed skrzyżowaniem ostrzy barbarzyńską sztuką wychylił się z konia i ciął w nogi wierzchowca rywala. Zwierzę kwiknęło i padło w błoto. Tylko nieprzytępiona cywilizacją intuicja ocaliła Cairena przed zmiażdżeniem. Spadł miękko niczym kot, by zaraz wyprostować się jak pęd bambusa, znów gotów do walki z nawałnicą. Yasar już nacierał. W ciemnych oczach barbarzyńca odczytał ponurą determinację.

Miał zginąć.

Ale jakoś nie miał na to ochoty.

Dał susa i przeturlał się daleko, unikając kopyt i szabli. Igrał z myślą o rozpruciu wierzchowcowi brzucha, ale żał mu było zwierzęcia, poza tym wiedział, że ryzyko jest zbyt duże.

Yasar znów najechał, o włos chybiając fikającego koziołki celu. Tuer robił coraz ciaśniejsze zwroty, Cairen już wkrótce mógł nie być w stanie się im wywinąć, nawet przy całej swej wyjątkowej sile, instynkcie i refleksie. Za wszelką cenę musiał unieвозмоżliwić Yasarowi łatwy atak. Tuer znów natarł. Blondyn zanurzył dłoń w błocie i cisnął mokrą pigułą. Twarz Yasara zniknęła pod ciemną papką. Teraz albo nigdy! Cairen przyskakiwał już z szablą...

...gdy wtem koń Tuera stanął dęba i niczym pięściarz wymierzył cios kopytem w twarz olbrzyma! Ten uchylił się w ostatniej chwili i na wszelki wypadek odkozyłkował byle dalej. Rumak został wszechstronnie wyszkolony. Cairen nie miał szans.

Yasar przetarł twarz, ale w tym samym momencie i barbarzyńca przejrzał na oczy.

W oddali widniał kamienny kopiec wyznaczający kres tarasów.

Niewiele myśląc, puścił się biegiem. Za sobą słyszał galop, ale stalowe mięśnie i fiszbinowe wiązadła blondyna dorównywały ścigłością końskim. Wtem z wizgiem tuż koło jego ucha przemknął pocisk. Tuer celował w uciekiniera sztyletami. Cairen poprawił broń w garści i odwrócił się. W samą porę, bo ku jego twarzy pędziło już następne wirujące ostrze. Zastawił się szablą; pocisk z brzękiem odleciał w ciemność. Biegając w tył, olbrzym nie mógł rozwinąć zbyt dużej prędkości, ale szczęściem Yasarowi rychło skończyły się noże. Cairen obrócił się i niczym wiatr frunął na szczyt kopca. Spojrzawszy z góry na nadjeżdżającego wroga, zaśmiał się tryumfująco.

– Podejdz no teraz, tuerski psie!

Tuerski pies i jego koń podjęli wyzwanie, ale wnet cofnęli się, odparci przez przeważające siły. W oczach Yasara tliła się wściekłość, kiedy kamienie ciskane przez Cairena świszczały mu koło głowy.

– Ja mogę tak jeszcze długo – szyderczo zawołał barbarzyńca – ale tamte nomadzkie psy wkrótce rzucą się twemu panu do gardła!

Tuer zacisnął szczęki. Cairen miał rację. W bojowym szale, z marnymi widokami na skarb Cesarza, najemni wojownicy mogli wykorzystać nieobecność ochroniarza i odebrać Raganowi sakiewkę oraz życie.

Celnie rzucony kamień wykrzesał iskrę z hełmu wojownika. Szcherząc zęby, Yasar zaklął po tuersku i posławszy blondynowi mordercze spojrzenie, zawrócił. Po chwili pędził już z gwizdem na ustach w dół, a za nim konie.

Płomienie w wiosce powoli przygasały. Krzyki ucichły już wcześniej.

Cairen westchnął, otarł pot z czoła i zbiegł z kopca. Trzeba było humanitarnie dobić wierzchowca Omera, odnaleźć dziewczynę, a potem czym prędzej czmychnąć między skały.

Ale z Yasarem i tak się policzy.

– Czas w drogę. Trza nam ujść jak najdalej, znaleźć wodę, jedzenie. No, chodź!

Cairen mógł tylko westchnąć ze źle skrywaną niecierpliwością. Dziewczyna wcisnęła się jeszcze głębiej pod głazy i nie dawała się wywabić ni miłym uśmiechem, ni racjonalną argumentacją.

– Nie to nie – burknął wreszcie i usiadł w kucki, ponurym wzrokiem tocząc po okolicy.

Siedzieli pod szczytem, na trawie pośród kamiennych kopców. Wstał już dzień. Nocny chłód zaczął ustępować wraz z wiatrem, przeganiającym znad wzgórz poranną mgiełkę.

– Nie możesz tu wiecznie siedzieć – rzucił znów w stronę dziewczyny i wyjął szablę. – Trza uchodzić, nim nas znajdą.

Splunął na lśniąco blade klingę. Osełka zaszurała o metal; śliniana smuga szybko pociemniała.

– Drugi raz mogę nie dać rady cię obronić.

Długie, równe pociągnięcia wzbudzały jednostajny szmer; niepokojący dźwięk ginął w świstie wiatru między zwaliskami.

– Ty tu się wygłupiasz, chowasz po skałach, a oni może już po nas jadą.

Nie podejrzewał, by Ragan zdecydował się tracić czas na pościg, ale nie mógł tego wykluczyć. Należało zgubić się pośród wzgórz, a nie chciał zostawiać dziewczyny na pastwę losu.

Mordercza krawędź klingi wyzierała złowrogo spod warstewki spojonego śliną pyłu. CaiREN otarł szablę rękawem i przeciągnął nią po policzku. Zachrobotało. Zadowolony, jął golić się metodycznie.

– Ja wiem, że jesteś w szoku – mruczał niespiesznie, precyzyjnymi ruchami oskrobując twarz z twardego zarostu – ale musisz zacząć myśleć o sobie.

Ostatnie pociągnięcie. Już miał oderwać ostrze od szyi, gdy szabla zacięła się na wyjątkowo grubym kudelku, zarazem zacinając właściciela. Zazgrzytał zębami.

– Mam cię znowu nieść? – rzucił gniewnie do dziewczyny, jakby to była jej wina.

– Twoje włosy...

Odwrócił się. Patrzyła nań ze swojej niecki. Błoto nie zatarło znamion wyjątkowej urody.

– ...dlaczego są... takie?

Mówiła dziwnie, ale rozumiał słowa. Wzruszył ramionami.

– Wielu ludzi w mojej wiosce takie miało.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem był gwizd wiatru.

– Gdzie leży twoja wioska?

Spojrzał w bok, gdzie falista linia wzgórz ustępowała równinie. Dalej wszystko rozpływało się we mgle.

– W przejrzysty dzień pewnie widać stąd Górę Pięciu Cesarzy, początek Wielkiego Pasma – mruknął. – Pochodzę z ludu żyjącego u stóp gór Lenglongling, na zachodnim jego krańcu. Stamtąd już tylko pustynie i stepy ciągną się aż po kraj świata.

Dziewczyna patrzyła na plecy olbrzyma ze zdziwieniem pomieszanym ze strachem. Widywała czasem Górę Pięciu Cesarzy, ale nigdy nie zastanawiała się, co rozciąga się dalej. A teraz rozmawiała z kimś, kto pochodził z niewidocznych przestrzeni, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia.

– Czemu przybyłeś aż tutaj?

Prychnął.

– Słyszę, że sprawnie już ozorkiem mielesz. Jeśli tak samo sprawnie nogami przebierasz, możemy ruszać w drogę.

Wstał i nieznoszącym sprzeciwu gestem machnął na dziewczynę. Ale ona pokręciła głową.

– Twoja rana jest umazana błotem. Jeśli ją tak zostawisz, w kilka dni dostaniesz gorączki i drgawek. Poczekaj, niech opatrzę.

Wygramoliła się i chwilę szukała czegoś w trawie. Znalezione ziele przeżuła i powstałą papką namaściła mocarne ramię Cairena.

Dziwnie czuła się przy tym mężczyźnie. Na pierwszy rzut oka wyglądał strasznie, ale roztaczał wokół siebie aurę zaufania, która pozwalała jej na chwilę zapomnieć o...

Otworzył szeroko oczy, kiedy raptem wybuchnęła płaczem. Niezgrabnie ujął ją za ramiona.

– No, już dobrze... Twoją wioskę Ragan puścił z dymem, ale ważne, że żyjemy...

Zaszlochała jeszcze głośniej. Irytowało go jej irracjonalne zachowanie, ale starał się tego nie okazywać. W końcu straciła dom i wszystkich bliskich.

Coś o tym wiedział.

– Muszę... – wyjąkała – muszę tam wrócić... poszukać...

Pokiwał głową. Kiedy uspokoiła się na tyle, by mógł zostawić ją na chwilę samą, wspiał się na kopiec i dokładnie zlustrował okolicę.

Wioska dogorywała całą noc. Żadna chata nie ocalała. Nad zgłiszczami snuły się wątle smużki dymu. Wytężywszy wzrok, zobaczył ciała rozrzucone po całej okolicy. Niektórzy walczyli do końca, inni uciekali przed śmiercią; wszyscy byli tak samo martwi.

Droga świeciła pustkami, podobnie zbocza i grzbiety wzgórz. Drużyna Ragana musiała już wyruszyć w drogę. Tylko dokąd?

Odwrócił się, chcąc zadać dziewczynie pytanie, ale nie dostrzegł jej między kopcami. Rozejrzał się. Stała niżej na stoku, wpatrując się w miejsce, które jeszcze wczoraj było jej domem.

– Być może... – zszedł ku niej, czując się dziwnie nieswój – ktoś z twoich wciąż żyje. Nomadzi wspominali o przewodniku... Ale to zależy od tego, czy...

– Tak, wiemy coś o grobowcu Cesarza – odwróciła się gwałtownie. Z jej ocz ciekły łzy.

– Nie wiem, ile wieków minęło od złożenia Cesarza do grobu. Nie wiem nawet, co to za Cesarz. Słyszałam opowieści, ale nigdy się nimi zanadto nie interesowałam. Miałam jeszcze czas, by wszystkiego się dowiedzieć...

– Na pewno wiesz więcej niż ja – burknął Cairen, podsycając wąty ogień pod pieczystym.

Od hulającej burzy chroniło ich sklepienie groty. Wyczerpująca wędrówka skończyła się przedwcześnie, kiedy nastąpiło załamanie pogody. Mieli szczęście; nie dość, że pomiędzy stalagmitami na robactwo polowało kilka sporych rozmiarów gryzoni, to jeszcze pośród kamieni zalegających podłogę groty znaleźli krzemień. Zanim wi-

chura przywiała burzę z piorunami, zdążyli powyrywać wszystkie okoliczne krzewiny na opał.

– Podobno – ciągnęła niechętnie – wioskę założyli strażnicy grobowca. Mieli za zadanie powstrzymać każdego, kto by go szukał lub znalazł. Ale do dziś przetrwała tylko wiedza, gdzie znajduje się grobowiec. Kim był Cesarz, kiedy władał, gdzie, tego już nikt... nie wie... nikt...

Cairen wyczuł w jej głosie podejrzaną nutkę. „Żeby tylko znów nie uderzyła w bek” – pomyślał i patykiem trącił mięso.

– Chyba już dobre – rzucił pośpiesznie. – Patrz, jak tłuszczyk cieknie...

W tej chwili uświadomił sobie, że nie zna imienia towarzyszki. Przewędrowali razem pół dnia, rozmawiając ze sobą jak obcy ludzie.

Chyba pomyślała o tym samym, bo uśmiechnęła się blado.

– Jestem Rosa. Kiedy przyszłam na świat, zniknęła właśnie gęsta poranna mgła, a krople rosy zaiskrzyły w słońcu tak mocno, że zrobiło się jasno jak w południe. Tak zawsze opowiadała... mi... moja...

– A ja Cairen, syn Caisonga – wtrącił szybko.

– Czy twój ojciec też miał płowe włosy, jasną skórę i zielone oczy? I był tak wysoki? – zapytała Rosa, kiedy ogołocili już szczury do kości.

Umościł się jak mógł najwygodniej na zapasie gałązek i wpatrzył w pelgający ogień.

– Był niższy i włosy miał ciemne, ale oczy niebieskie. – Zignorował zdumione westchnienie Rosy i kontynuował: – Zielone oczy miał mój dziadek. I jasne włosy. I o głowę był wyższy niż ja teraz.

– Jakże to? Mówisz przecież po czungijsku, nosisz się po mengucku...

– Rządzili nami, jak i wami, Cesarze z Północnej Stolicy, dopóki Wielki Chan nie odrzucił ich na Południe. Ale moją wioskę założyli ludzie z daleka, z samego krańca świata. Nie wiem o nich prawie nic...

– Na pewno więcej niż ja.

Westchnął.

– W czasie powstań, tak dawno, że nikt nie zna nikogo, kto by znał kogoś, kto by słyszał o kimś, kto by na własne oczy widział świadka tamtych zdarzeń, w jednej z armii walczył oddział wojowników przybyłych zza horyzontu. Wszyscy byli ponoć wyżsi co najmniej o głowę od miejscowych i mieli długie nosy, jasne oczy i płowe włosy. Po zakończeniu walk osiedlili się i założyli wioskę.

– I do dziś rodzą się dzieci wyglądające jak oni? – Rosa nie posiadała się ze zdumienia.

A Cairen z przebudzonego naraz smutku.

– Nie rodzą się. Wioski już nie ma. Kiedy miałem siedem lat, najechali nas stepowi wojownicy. Cesarze byli słabi, północne ludy wyszarpywały kraj kawałek po kawałku.

– Ale ty żyjesz... – zauważyła nie bez racji dziewczka.

– Byłem wtedy u wujka, kowala, zbierałem chrust w lesie. Widziałem wszystko z czubka drzewa.

Delikatna dłoń dotknęła mocarnych palców.

– I co było dalej? – spytała cicho Rosa.

– Kilka lat wychowywało mnie małżeństwo starych pszczelarzy, głęboko w górach. Kiedy umarli, pożądleni przez własne pszczoły, zacząłem tułaczkę od wioski do wioski, służąc jako pomocnik kowala, pastuch, albo zwyczajnie kradnąc jedzenie. Jedną z wiosek najechali Menguci. Walczyłem tak dzielnie wszystkim, co miałem pod ręką, że dowódca przygarnął mnie i wyszkolił na jeźdźca, szermierza, łucznika, pięściarza, czego byś nie chciała.

– Chciałabym – szepnęła dziewczka – chciała...

Ale Cairen był już jak w transie.

– Wtedy otrzymałem menguckie imię Todzi. Niestety, między Mengutami wybuchły niesnaski, nasz oddział został wciągnięty w zasadzkę i wycięty w pień. Tylko ja zdołałem uciec, choć ścigali mnie przez wiele dni. Potem szwendałem się od miasta do miasta, tu kradnąc, tam służąc za ochroniarza, ówdzie znów pomagając starszemu małżeństwu uprawiać ziemię. Aż trafiłem do Xingchangu, gdzie znalazł mnie ten tuer-ski...

Pąsowe wargi przylgnęły do grubych ust, delikatne dłonie spoczęły na muskularnym torsie. W jaskini zapadła cisza, zakłócana tylko trzaskaniem ognia i gałązek prowizorycznego posłania.

– Jeśli prowadzi ich ktoś z wioski, wskazał im drogę dogodniejszą dla koni, a ona jest znacznie dłuższa. Pójdziemy tędy. Mamy szansę ich wyprzedzić.

Podążył za wzrokiem Rosy.

Równy, ale wąski grzbiet prowadził prosto na wschód.

– Coś podobnego miał na mapie Ragan – przypomniał sobie Cairen. – Wedle jego słów to była droga do grobowca. Tylko że ten grzbiet jest gdzie indziej niż na mapie.

Pokiwała głową.

– Żadne mapy nie są dokładne, wszystkie albo sfalszowano, albo zmyślono. Tak samo te kamienne kopce. Usypano je w sekretny sposób, prowadzący do grobowca. Ale to kolejna zmyłka. Kto odczyta te znaki, powiedziany zostanie do fałszywego grobowca, gdzie znajdzie tylko ślady wcześniejszych złodziei.

– A więc jednak sporo pamiętasz – zauważył z przekąsem.

Uśmiechnęła się.

– Kiedy słyszy się coś tysiąc razy, to nawet nie słuchając zbyt uważnie, coś się zapamiętuje.

Olbrzym zarzucił na ramię związane za ogony pieczone gryzonie i ruszył wskazaną drogą.

Wedle słów dziewczyny czekały ich dwa dni drogi. Jaskiniowych szczurów nie starczy im na długo, trudno też było liczyć na kolejną grotę, ale mieli krzemień, szablę i czym się okryć.

I siebie.

Wkrótce okazało się, że to raczej on ją miał – na rękach. Forsowna trasa dała się dzielnej dziewczynie we znaki. Przerzucona przez wygodne ramię olbrzyma, zasnęła. A on truchtał chyżo jak zdeterminowany tygrys. Popędzała go nie tylko myśl o skarbie, ale i o postoju oraz gibkim ciele Rosy, drżącej w jego krzepkim uścisku.

– Jest! Cairenie, szybciej!

Mruknął z dezaprobatą na to ponaglanie, ale przyśpieszył kroku. Rosa już wcześniej wysforowała się do przodu, a teraz podskakiwała jak mała dziewczynka.

Ominął skalną wychodnię, akcentującą koniec długiej grani, i spojrzał w dół.

Cesarz, kimkolwiek był, miał o sobie wysokie mniemanie. Inaczej nie wystawiłby w górskiej kotlinie grobowca, który dorównywał ogromem sąsiednim wzgórzom.

Budowla była stara. Tak stara, że porastające ją trawa i krzewy upodobiły wytwór rąk ludzkich do dzieła natury. Ale i taki był chyba zamysł budowniczych. Bo inaczej nie usypaliby ogromnego ziemnego kopca. Po setkach czy tysiącach lat, które musiały minąć od budowy, jedyny ślad, że wzgórze nie jest naturalne, stanowiła jego rozmyta upływem czasu i spływem deszczowej wody czworoboczność.

I pochylona kamienna brama, przed którą pasły się uwiązane konie.

– Może już puścili przewodnika wolno? Przecież pokazał im, jak trafić! – Radość Rosy ustąpiła strachowi. – Gdzie on jest?

– Nie martw się – odezwał się Cairen po chwili milczenia. – Trza nam czekać.

Zamknęła oczy. Spod zaciśniętych powiek pociekły łzy.

– Spóźnił się...

Ledwo powstrzymał westchnienie.

– Nie pora jęczeć – mruknął i klapnął na ziemię. – Siadaj, siły trza oszczędzać. Poczekamy, rozmyślimy, co robić.

A widząc, że dziewczka wciąż wypatruje nie wiadomo czego, szarpnął ją za kiecki i złapał w ramiona.

– Toż mówię, siadaj... Jeszcze cię kto zauważy i twego krajana szybciej zaszlachtują...

Nim zdążyła załkać, zmiażdżył jej usta w gorącym pocałunku.

Blond brwi ściągały się coraz mocniej, potężne szczęki zaciskały miarowo. Słońce zachodziło nad kotliną w sercu Gór Śniącego Smoka, a z grobowca nie wyszedł dotąd nikt. Nie dziwota, że Cairen zaczął się irytować.

Nie leżało w naturze tego zachodniego barbarzyńcy bierne wyczekiwanie na rozwój wypadków. Był oczywiście w stanie niczym pantera śnieżna zapaść w czujny letarg, ale szloch i łkanie dobiegające zza pleców przypominały mu wciąż, że dla Rosy mijający czas jest niczym ostrze wolno sunące po skórze, cał po calu przybliżające koniec. Nie mogli dłużej czekać.

– Albo jeszcze się nie obłowili, albo już gardła dali w tej przeklętej górze – warknął. – Znasz jaką dobrą drogę na dół? Trza nam schodzić.

Przez śliczną twarz przemknął grymas radości zmieszanej ze strachem. Skwapliwie pokiwała głową i zerwała się na równe nogi.

– Tędy!

Niedługo później zsuwali się już w błocie i w chrobocie kamieni ku łące. A raczej zsuwał się on, dziewczynę przewiesiwszy sobie przez ramię. Sadził wielkimi

krokami, wiedząc, że czyni hałas. Miał jednak pewność, że ściany grobowca są aż nadto grube, by wyciszyć zdradzieckie dźwięki.

Kotlinę zarastała bujna trawa, ubarwiona polnym kwieciem. W wieczornym powietrzu wciąż uwijały się owady. Najwięcej z nich ściągało ku koniom, cierpliwie czekającym na swych panów przy bramie grobowca.

– Zostań – rzucił olbrzym, gdy podeszli do wejścia. – Grobowiec pełen łotrów to nie miejsce dla dziewczek...

Zamilkł, kiedy Rosa stanowczo pokręciła głową.

– Beze mnie zginiesz po kilku krokach. Wiem, jak ominąć pradawne pułapki. Chodź!

Chcąc nie chcąc, ruszył za nią z bronią w garści.

Otoczyła ich ciemność, ale Cairen nie zdążył zakląć, kiedy za zakrętem ceglany korytarz wypełnił się mdłym, nieziemskim blaskiem.

– To te kamienie. – Rosa wskazała blade guzy na suficie. – Starożytni władcy wydobywali je z morza nieopodal Wysp Nieśmiertelnych. Cesarz kazał inkrustować nimi swój grobowiec, aby po wsze czasy móc podziwiać zgromadzone skarby.

Skinął głową, przyjmując przeczący naturze ewenement do wiadomości.

– Stój – syknęła, kiedy minęli kolejny zakręt. Zamarł w miejscu niczym wodospad powstrzymany w biegu nagłym spadkiem temperatury. – Ragan musiał wiedzieć o pułapce, inaczej już tu leżałyby ciała...

Schyliła się po ułamek cegły i rzuciła przed siebie.

Z sufitu lunął deszcz strzał i narobiwszy hałasu, wsiąkł w podłogę. Widząc nie nerozumiejące spojrzenie blondyna, Rosa wskazała zamaskowane otwory w sklepieniu i posadzce.

– Starczy, by powietrze zadrżało, a spust się uruchamia. Żadna strzała się nie marnuje. Przeszywszy ciało, trafiają do podziemnego magazynka, skąd wędrują z powrotem do magazynka górnego, by tam czekać na następnego głupca.

– Trza by naznosić tu drew i kamieni, zatkać te dziury i czekać, póki nie wyłapiemy wszystkich strzał – podsunął Cairen.

Dziewka potrząsnęła głową.

– Ich siła jest tak wielka, że przeszywają człowieka w pionie, rozbijają w pył kamienie i rozszczepiają najtęższe pnie. Gdyby zaś nawet skończyły się strzały spadające pionowo, uruchamiają się wtedy magazynki boczne. – Wskazała otwory w ścianach. – A nawet gdyby i je wyłapać, wtedy spada kamienna lawina, grzebiąc grobowiec na wieczność.

– No to nie przejdziemy – sapnął Cairen, pojawiający się geniusz pułapki. – Tylko jak u licha przeszli tędy ludzie Ragana?

Uśmiechnęła się tajemniczo i schyliła po kawałek gruzu.

– Musieli mieć dobre wskazówki. Albo sporo cierpliwości.

Rzut – i lunął nowy deszcz strzał. I znów. A potem z boku. I jeszcze raz.

Cairen miał już zrugać Rosę za to tanie efekciarstwo, kiedy złapała go za ramię.

– Szybko! Póki machina przesuwająca strzały do góry!

Wyteżył słuch. W ścianach coś chrobotało. Pojawiający się, że ma do czynienia z diabelską sztuką, chwycił dziewczkę wpół i tygrysim susem znalazł się po drugiej stronie.

Włos zjeżył mu się na głowie, kiedy za sobą usłyszał świst, a na karku poczuł podmuch strzał. Zdążyli w ostatniej chwili.

– A jednak wiesz wystarczająco dużo, by uratować nam życie – mruknął.

Rosa wzruszyła ramionami.

– Kiedy słyszy się coś tysiąc razy... O, Niebiosa!

Podążył wzrokiem za jej drżącym palcem.

Plama ciemności pod ścianą tunelu przy bliższej inspekcji okazała się wojownikiem. Po ubiorze Cairen poznał Dżede. Po twarzy nie byłby w stanie, bo połówki tejże rozdzielały trzy kroki podłogi.

– Nie wiedziałam o takim zabezpieczeniu... – jęknęła Rosa i wczepiła się w potężne ramię Cairena.

– Trza było jednak uważniej słuchać – syknął i nie bacząc na jej piski, nachylił się nad trupem.

– Miecz – skonstatował po chwili. – Albo ostrza jakoweś ze ścian tu spadają, albo trafił na lepszego od siebie szermierza.

Nauczony doświadczeniem poszukał wzrokiem na podłodze gruzu, ale na złość była jak zamieciona. Niewiele myśląc, złapał trupa i cisnął przed siebie.

Rozległ się tylko łomot upadającego ciała i westchnienie Rosy. Słaba psychicznie dziewczka ległaby zemdlona, gdyby nie refleks barbarzyńcy.

– Nie wyglupiaj się, iść nam trza, nie spać! – Potrząsnął nią, aż zaklekotały zęby. – No, już! Weź się w garść, do kroćset...

Podziałało. Nie uszli jednak daleko, kiedy korytarz się skończył.

– Co to za nowe diabelstwo... – zaczął Cairen, ale słowa zamarły mu na ustach.

Przed ich zdumionymi oczyma objawiła się w pełnej krasie sala, a raczej grota, jakby wypłukana milionleciami spływu wartkiej wody. Wysokie sklepienie zdobiły przemyślnie obrobione świecące kamienie. Gdyby Cairen nie wiedział, że znajduje się we wnętrzu grobowca, bez ochyby uwierzyłby, iż patrzy w rozgwieżdżone niebo, na którym księżyc jaśnieje niczym podczas najpełniejszej z pełni. Pod tym niebem zaś stała szereg za szeregiem gwardia cesarska w pełnym rynsztunku.

Rosa stężała w wielkim strachu, ale instynkt barbarzyńcy podpowiedział blondynowi, że patrzy na naturalnej wielkości, doskonale wierne i trzymające prawdziwą broń, ale jednak tylko posągi. Każda z setek twarzy miała inne rysy, każda z setek dłoni na swój sposób dzierżyła drzewce włóczni czy rękojeść krótkiego miecza, lecz brązowa zbroja nie kryła ciała z krwi i kości.

Wzrok Cairena pomknął daleko na wprost, gdzie między dwiema ogromnymi rzeźbami lwów widniały bogato zdobione podwoje. W jednej chwili zrozumiał, że za nimi czeka serce grobowca i największe skarby.

– Chodźmy. – Ruszył wielkimi krokami przed siebie, by po chwili się zreflektować. Dziewka stała jak wmurowana.

– Czego sterczysz? Chodź! – burknął zniecierpliwiony.

Pokiwała głową, ale zamiast ku niemu, drobnymi kroczkami poszła w bok, pomiędzy posągi.

– Na stronę mi trza...

Skinął niechętnie głową i odwrócił się. Nieziemskie oświetlenie utrudniało dostrzeżenie szczegółów, ale lwy wyglądały z oddali na wyciosane z olbrzymich brył bladozielonego jadeitu. Bardziej jednak interesowało go to, co musiało znajdować się za wrotami. Jeśli już pierwsza sala grobowca prezentowała się tak okazale...

Ostrzegł go niemal niewyczuwalny podmuch powietrza. W okamgnieniu odwrócił się, wyprowadzając cios, by w ostatnim momencie zmienić kierunek uderzenia i wybić Rosie włócznię z ręki.

– Czyś ty rozum postradała? – krzyknął, kiedy rozbrojona dziewczka z obłędem w oczach rzuciła się nań, wymachując piąstkami. – Ejże!

Złapał ją mocno za ramiona, ale zaczęła wierzgać. Obute w skórkowe łapcie stopy fikały niebezpiecznie blisko krocza blondyna.

– Co w ciebie wstąpiło? Dziewczyno, opamiętaj się! – Zatrząsł Rosą. W szklistych oczach błysnęła iskierka rozsądku.

– Nikt... nie może... zakłócać... snu Cesarza! – syknęła i wystrzeliła nagle z zębami ku twarzy Cairena. Tylko barbarzyński refleks uratował olbrzyma przed denasycją.

Nie widząc innego wyjścia, umiejętnie uderzył dziewczynę w głowę. Zwiotczała bezgłośnie. Zemdloną ułożył na posadzce.

– Przeklęte miejsce – mruknął. – Ale jeśli ten sam obłąd ogarnął siepaczy Ragan, drogę do skarbcza mam wolną.

Rozglądając się czujnie, ruszył ku wrotom. Czuł się nieswój pośród setek do złudzenia realistycznych posągów, ale większą obawą napawały go pradawne pułapki. I Ragan, jeśli on sam, lub ktoś z jego ludzi, jeszcze żył.

Stąd miał mieszane uczucia, kiedy kątem oka dostrzegł Turghuna, czy raczej to, co zeń zostało. Chudy Jugur musiał się dostać w pułapkę masakrującą jeszcze bardziej niż samostzelne kusze czy niewiadome ostrze, które rozpołowiło czerep Džede. Nieszczęśnika dało się poznać już tylko po gabarytach, bo przeistoczył się w kawał surowego mięsa, rozciągnięty w kałuży krwi między stopami kamiennych posągów.

Cairen obrócił szablę w dłoni. Miał o jednego wroga mniej, lecz pułapek na swej drodze być może o jedną za dużo, by ujść z życiem.

Podjął marsz, ale jeszcze czujniej, jeszcze ostrożniej. Podwoje były coraz bliżej i coś mówiło olbrzymowi, że z każdym jego krokiem gdzieś napina się niewidoczna cięciwa lub pętla trzymająca zabójczy ciężar zsuwa się ze spustu...

Stanął jak wryty, kiedy dobiegł go cichy jęk. Z przodu, w okolicach wrót, ktoś był. I sądząc po odgłosach, niebawem miał być martwy.

Cairen, już i tak w pełni gotowy do walki lub ucieczki, jeszcze czujniej nadstawił uszu. Jęki przeplatały się z chrapliwym oddechem. Rozejrzał się i na palcach ruszył przed siebie.

Lwy istotnie wyciosano z jadeitu. Nie były jednak nieskazitelnie zielonkawe. Gładki kamień pokrywały krwawe bryzgi. Przynajmniej część z nich trysnąć musiała z żył, a raczej tętnic nieszczęśnika, leżącego nieopodal pod wykładaną barwnymi płytkami ścianą.

Nie okazał się nim żaden z dawnych towarzyszy Cairena. Mężczyzna, czy raczej chłopak, miał na sobie konopny wiejski strój, pokryty teraz krwią i kurzem grobow-

ca. Leżał na wznak, obejmując rękoma rozplątany brzuch. Ale był to już tylko pusty gest trupa. Krew, którą chciał zatamować, już dawno wystygła i zakrzepła.

Olbrzym westchnął i spojrzał w prawo.

Ragana nie sposób było przeoczyć. Rozciągał się na długości kilkudziesięciu kroków, co nawet zważywszy na potencjał tkwiący w jego tuszy, było nie lada wyczynem. Jakieś straszliwe ostrza wypatroszyły go niczym leśnego zwierza, rozwlekając jelita między milczącymi posągami. W ludzkim szlamie zagubiła się cała dostojność wyniosłego Menguta.

Cairen spojrzał w lewo.

Yasar wyglądał, jak gdyby stoczył walkę swego życia. Cairen nie miał pojęcia, co za pułapka zdołała tak zmasakrować potężnego mężczyznę, a potem zniknąć bez śladu. Nie, nie bez śladu. Podziurawione niczym rzeszoto ciało Tuera wspierało się na kilkunastu włóczniach, wbitych i pozostawionych w ciele wojownika przez większych odeń mocarzy.

Blondyn zmarszczył brwi.

Mógłby przysiąc, że włócznie się poruszyły. Jakby dla potwierdzenia posłyszał kolejny jęk.

Yasar wciąż żył.

Niewiele myśląc, Cairen podszedł do Tuera. Strach było nań patrzeć. Kolczuga nie zdała się na nic. Musiał wpaść w pułapkę strzelającą włóczniami, bo z przodu miał ich dobry tuzin, a w plecach jeszcze więcej. To na nich spoczywał wygięty dziwnie w tył, z głową dotykającą muru.

Barbarzyńca wprawnym okiem ocenił szanse Yasara na przeżycie. Nie miał czasu do stracenia. Musiał wyciągnąć z wojownika jak najwięcej informacji. A potem pozwolić mu odejść do przodków.

– Żyjesz? – Trącił Tuera w bok.

Spomiędzy zgryzionych warg mężczyzny dobył się jęk, otwały się półprzytomne oczy. We mgle bólu błysnęła iskierka zrozumienia.

– Kto cię tak załatwił? – Cairen wymownym gestem wskazał włócznie.

Powieki Yasara zadrżały. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafił. Blondyn zmrużył oczy, wbijając wzrok w mamroczące coś wargi Tuera.

– „Ro...” – powtórzył za nim, zachęcając go do dalszego wysiłku. – „Bo...” Świetnie ci idzie, tylko tak dalej! – zachęcał. – „T...”

Ale Yasar zakrztusił się krwią, spojrzał na barbarzyńcę, a potem znacząco na trzymaną przezeń szablę.

Cóż było robić. Blondyn wzniosł ostrze i patrząc Yasarowi w oczy, zatopił miłosierną klingę w umęczonej piersi.

Został sam.

Inaczej wyobrażał sobie pojedynek z Tuerem, ale cóż. Tak czy siak, w końcu przeciął nić żywota wojownika. Była wprawdzie mocno zbutwiała, ale liczył się sam fakt.

Nie pozostawało już nic poza włamaniem do skarbcza. „Drużyna Ragana wyczerpała chyba magazynki wszystkich pułapek – pomyślał. – Inaczej sam leżałbym już rozplątany lub ponabijany”.

Podszedł do wrót skarbcza. Potężne belki połyskiwały brązowymi ćwiekami, w których tkwiły olbrzymie perły. Już same one urządziłyby barbarzyńcę na resztę życia w domku z ogródkiem w ładnej okolicy, ale nie tego przecież szukał. Wyciągnął przed siebie szablę i wahadłowymi ruchami jął sprawdzać najbliższe otoczenie wrót. Nie chciał skończyć jak Yasar, naszpikowany włóczniami.

Włócznie.

Odwrócił się powoli i rozejrzał.

Najbliżej stojący kamienni żołnierze mieli puste ręce. Miecze kilku następnych błyszcząły, nieskażone kurzem. Na ostrzu jednego z nich ciemniała karmazynowa smuga.

Po sali przetoczył się szelest.

Nie, nie szelest. Oddech.

Cairen poczuł za sobą ruch.

Odwrócił się i spojrzał wprost w rozdziawioną paszczę jadeitowego lwa.

Jadeitowy czy nie, potworny łeb pod szybszą niż błyskawica szablą Cairena rozłupał się niczym kloc miękkiego drewna. Nie pociekła ani kropla krwi, kiedy cielsko z hukiem upadło na posadzkę.

Ale do życia budził się już drugi lew. Kiedy Cairen baczным spojrzeniem obrzucił salę, nie zdołał nawet zakłąć z wrażenia. Włosy najeżyły mu się jak ryżowa szczotka. Jeżeli ów wspaniały, choć jeszcze młody wojownik bał się czegokolwiek, to jeno sił nadprzyrodzonych.

Posągi ożywały. Kamienne postacie przeciągały się jakby po długim śnie, ważyły broń, rozglądały się, a ich pozbawione tęczyówek oczy zwracały się ku miejscu, gdzie stał żywy człowiek.

Cairen już wiedział, co chciał powiedzieć mu Yasar. I wiedział też, że musi się spieszyć. Roboty widać nie od razu nabierały pełni sił, ale patrząc na to, co zrobiły z Dżede, Turghunem, wieśniakiem, Raganem i Yasarem – bez wątpienia potrzebowały tylko czasu, by zmienić się w maszyny do zabijania.

Drugi lew bezgłośnie otworzył paszczę i sprężył się do skoku. Nie zdążył go wykonać, skończył z odciętym łbem. A Cairen pomknął między oddziałami żołnierzy ku widocznemu w oddali korytarzowi prowadzącemu na zewnątrz.

Nie ubiegł i tuzina kroków, kiedy ruchy posągów nabrały groźnej płynności. Droga przed nim zniknęła. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że także za nim stoją już milczący gwardziści Cesarza. Ani by wiedzieć, że mają tylko jeden cel.

Zabić intruza.

Poprawił szablę w dłoni i oddał się chłodnej furii.

Pod uderzeniem stalowego ostrza terakotowe ciała pryskały niczym tłuczona porcelana. Ale kamienni wojownicy znali swoje rzemiosło. Na Cairena ze wszystkich stron padał grad ciosów. Ataki odpierał tylko dzięki zwierzęcej sile i barbarzyńskiemu refleksowi. Każdy krok ku wyjściu kosztował go kilkadziesiąt sztychów i parowań. I coraz więcej lekkich ran.

W starciu z brązowymi mieczami gwardii znakomita stalowa szabla udowadniała swą wartość, zachwalaną przez Yasara. Słabsza broń wyszczerbiłaby się już i pękła pod tysiącami dźwięczących uderzeń.

Wtem zdradziecki cios w czoło zalał oczy Cairena krwią. Napastnik niemal w tej samej chwili legł w kawałkach na posadzce, lecz wystarczył moment, by kilka mieczy i włóczni wraziło się w ciało blondyna. Zdołał je roztrzaskać, nim ugodziły ważne narządy wewnętrzne, ale w jego ruchy jęła wkładać się słabość. Stracił sporo krwi. Do tego zranione wcześniej ramię zaczęło się odzywać. A do korytarza było wciąż daleko.

Ryknął gniewnie. Był młody i prężny, miał całe życie przed sobą, chciał zwiedzić obce kraje, zaznać nowych rozkoszy, zmierzyć się z tajemniczymi potworami, pokosztować nieznanych trunków, zażyć cudzoziemskich piękności. Nie mógł teraz zginąć, nawet w tak spektakularnej scenerii zaginionego starożytnego grobowca!

Z nową energią okręcił się, wycinając wokół siebie czysty krąg, i jednym ruchem stopy wybił w powietrze upuszczony przez któryś z posągów brązowy miecz. Złapał broń w samą porę, by już oburącz uzbrojony stawić czoło napastnikom.

A oni atakowali niestrudzenie, jak gdyby niestraszna była im śmierć, jak gdyby życie nie miało dla nich żadnego znaczenia... Cairena olśniło, że z ożywionymi ponurą magią posągami nie wygra. Może zniszczyć ich setki i tysiące, ale w końcu

samą swą martwą determinacją zmogą potężnego, lecz żywego przeciwnika. Musiał uciekać czym prędzej.

Korytarz był coraz bliżej. Wtem między nogami wojowników mignęło smukłe przedramię. Rosa! Dziewka ześwirowała z nadmiaru wrażeń, ale nie godziło się zostawić jej na pastwę mieczy, a może i chuci terakotowych gwardzistów.

Cairen ryknął znowu i obrócił się z szablą w wyprostowanej ręce, lecz tym razem numer nie zrobił już na wojownikach podobnego wrażenia. Krąg wokół blondyna oczyścił się jeno na mgnienie oka. Potrzebował bardziej zaskakującego wyczynu. Ryknął jeszcze głośniejszym i potężnym susem wystrzelił w górę, by okręciwszy się w powietrzu, rozbić kilkadziesiąt głów naraz. Podziałało! Złapał nieprzypadkową dziewczynę, przerzucił przez ramię, nadludzkim wysiłkiem dał kolejnego susa i pokazem barbarzyńskiej szermierki przebił się przez ostatni szereg gwardii, by puścić się jak strzała korytarzem.

Ściany zadrżały, kiedy chlusnęła w nie fala kamiennych wojowników. Lodowaty chrobot ceramicznych ramion trących o cegły przeniknął Cairena dreszczem. Obciążony dziewczyną i zmęczony po niebywałych susach nie mógł biec tak szybko, jak by chciał. Kiedy więc wyczuł, że pościg jest zbyt blisko, odwrócił się i podjął walkę.

Wiedział jedno – musi uniknąć losu Dżede. Byłoby pożałowania godne dać się usieć wpół drogi do wolności. Cofając się krok po kroku, walczył jak wszyscy diabli zamknięci w jednym ciele, choć jego szabla wyglądała już niczym piła, a dłoń spuchła od wstrząsów do podwójnych rozmiarów.

Pod stopą olbrzyma coś zatrzeszczało. Wystarczyło spojrzenie – lewa połowka twarzy Dżede właśnie przestała takową przypominać.

I wtedy w głowie Cairena zapalił się czerwony lampion. Kilka kroków za plecami miał przecież pułapkę. Pułapkę, której bez czasu na wyczerpanie magazynka strzał, nie da rady przechytrzyć.

Zatrzymał się, rozbił jeszcze kilku wojowników, a potem zrzucił dziewczkę pod ścianę i stanął nad nią okrakiem, dając gwardzistom wolne przejście. W jednej chwili otoczyli go podkową. Lecz choć powinny tryumfować, posągi zachowały kamienną twarz, beznamietnie kontynuując swą morderczą robotę.

Cairen niestrudzenie wywijając orężem, przemieszczał się cal po calu ku pułapce, przesuwając dziewczynę nogami po posadzce. Na twarz wypełził mu krzywy uśmiech, kiedy pierwszy kamienny wojownik znalazł się w polu rażenia.

Rosa nie przeceniła siły pułapki. Strzała w okamgnieniu zmieniła zimne ciało w stos brzęczących odłamków. Cairen przesunął się jeszcze o cal. Następny gwardzista obrócił się w pył. I następny, i następny... Ale choć strzały wciąż zbierały ceramiczne żniwo, przeciwników nie ubywało.

Góra skorup urosła pod sam sufit, kiedy wreszcie pociski zaczęły wystrzeliwać z boku korytarza. Gwardziści padali przełamani wpół jak kładzione wichrem trzciny. W tym momencie, po kolejnym uderzeniu jednego w niezliczonych mieczów, stalowe ostrze pękło. Cairen desperackim ruchem odciął ułamkiem przedramię najbliższego gwardzisty i wyrwał z chropawych palców brązowy oręż. Teraz walczył dwoma krótkimi mieczami, co odbierało mu część przewagi. Ale przynajmniej ramiona wciąż miał dłuższe – szkoda tylko, że tak podatne na skrócenie.

Niewiele brakowało, by jeden z pchających się do walki wojowników skrócił właśnie barbarzyńcę o prawicę, kiedy ściana przestała pluć strzałami, a zza murów dobiegł chrobot mechanizmu.

Cairen poderwał się i zatoczył mieczami półkole, na mgnienie oczyszczając korytarz wokół siebie. Wystarczyło, by zdążył schwycić wciąż nieprzytomną Rosę i dać ostatniego susa nad stosem skorup na drugą stronę. Gwardziści ruszyli hurmem w jego ślady, szurając ramionami o ściany. Wypełniali już gęsto śmiercionośny odcinek korytarza, kiedy z góry jęły spadać na nich strzały.

Ale było ich zbyt wielu.

Strzały rozbijały głowy tylko po to, by grzęznąć w zwartej masie terakoty poniżej.

Kilka posągów zdołało się przedrzeć. Cairen odwrócił się i znów powierzywszy dziewczkę posadzce, podjął walkę. A gwardia wciąż parla.

Lecz wtedy w ścianach korytarza rozległ się trzask i łomot. Korytarz zadrżał.

Cairen poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

Strzały nie mogły się przebić.

Uruchamiało się kolejne zabezpieczenie grobowca.

Zabezpieczenie ostateczne.

Autodestrukcja.

Wojownicy utknęli w szczątkach swych bardziej pechowych poprzedników. Cairen w jednej chwili uporał się z ostatnimi gwardzistami i odwróciwszy się na pięcie, pomknął ku wyjściu, wlokąc za sobą nieszczęsną Rosę.

Słyszał, jak przez zator przedziera się paru żołnierzów, jak podejmują pościg. Ale nie było czasu walczyć.

Ani potrzeby.

Sam Cesarz miał się rozprawić z nadgorliwymi sługami.

Ziemia drgnęła, w trzewiach wzgórza coś gruchnęło. Blondyn wypadł na pogrążoną w ciemności łąkę, jednym ciosem odciął uwięź i wskoczył na koński grzbiet. Przerzucił właśnie dziewczynę przez siodło, kiedy naraz ziemia zakołysała się, a kamienne bloki wrót runęły z ogłuszającym hukiem. Konie stanęły dęba, grzmot powrócił zwielokrotnionym echem. Cairen zmusił przestraszone zwierzę do posłuszeństwa i skierował je w stronę wzgórz.

Za nim, z nieziemskim hałasem, grobowiec bezimiennego Cesarza zapomnianej dynastii zapadał się pod ziemię.

– Nie wiedziałam, czy nie jesteś szpiegiem tych morderców, czy nie chcesz podstępem wyłudzić wskazówek... Musiałam udawać, że niczego nie pamiętam... Przecież wiadomo, że jasne oczy to znak nieszczerości człowieka...

– I dlatego rzuciłaś się na mnie z włócznią?

W głosie Cairena brzmiały wesołe nutki. Natarty leczniczą papką ziołową, włączył właśnie ostatniego z rozpierzchniętych koni Ragana do małej, lecz cennej kawalkady. Na tak wyszkolonych wierzchowcach można było nieźle się obłowić. Nie tyle, ile na skarbie Cesarza, ale zawsze.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło. – Rosa skończyła obmywać twarz w strudze spadającej ze skalnego występu. – Jakiś głos... Tyle razy słyszałam, że mam zabić każdego, kto naruszy spokój Cesarza... Kiedy zobaczyłam, jak pożądliwie patrzysz w kierunku skarbcza... Ale gdybym wiedziała, że te posągi...

– Nieważne! – Cairen machnął ręką. – Wsiadaj, trza nam do cywilizacji. Czego bym nie dał za flakon ryżowego wina!

Rosa otwarła w zdumieniu usta.

– Jak możesz w takiej chwili myśleć o winie!? Zginęło tylu...

Śmiejąc się głośno, klepnął ją w tyłek, aż echo poszło po górach, a potem uniósł pokraśniałą Rosę i posadził na koniu.

– Nie tylko o winie myślę w tej chwili, dziewczko, nie tylko...

Za nimi trawa zaczynała już zarastać pagórkowate zwały ziemi, pozostałe po grobowcu pełnym przepadłych na zawsze skarbów.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmaga się z własnymi demonami i samym sobą. Jedwab i porcelana to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. „Biały tygrys” i „Niebieski smok” (nowe wersje) oraz „Czerwony ptak i Czarny żółw” (prapremiery).

SZABLĄ I WĄSEM

antologia opowiadań sarmackich pod redakcją **Dawida Juraszka**

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chęlimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

DO DIABŁA Z BOGIEM

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją **Dawida Juraszka**

Opium dla ludu w 10 odsłonach.

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przy-

szłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

W zbiór wprowadza opowiadanie „Kismet”. Tam, gdzie zawodzi zdrowy rozsądek, i cuda przestają być łatwe do wyjaśnienia, o wiele łatwiej popaść w fanatyzm, i zatracić się w szalejącej wojnie. Gdy pojawiające się znikąd anioły potrafią w mgnieniu oka spopielić całą wioskę, ciężko jest pozostać przy starej wierze. Sceptycznie nastawiony żołnierz, z nieco mniej sceptycznymi podkomendnymi, zostaje wysłany, żeby zbadać te cuda. Nie wie jeszcze, iż nie będą to zmagania z kwestią wiary, którą mamy w sercu. Wręcz przeciwnie.

NIEDOCZEKANIE

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją **Dawida Juraszka**

Gdyby babcia miała wąsy, czyli antologia historii alternatywnych.

Co by było, gdyby było inaczej, niż jest? Historie alternatywne to doskonała pożywka dla wyobraźni i niezły sposób na odreagowanie niepowodzeń jednostek i zbiorowości. Bo przecież gdyby wtedy, dawno temu, coś potoczyło się inaczej, to dzisiaj wszyscy byliby zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Albo i nie...

Niedoczekanie... Od alternatywy na parę, przez gwiazdnych wojowników i nieśmiertelne dynastie, po kolonializm na odwrót – antologia ośmiu historii alternatywnych z podniesionym czołem odpowiada na pytanie: co by było gdyby?

Antologię „Niedoczekanie” promuje opowiadanie „Parowy Hycel”. Kto parą wojuje, od pary ginie! Krzysztof Kochański bierze na warsztat fascynującą konwencję steampunku i brawurowo nadaje jej autorski szlif godny kunsztu weterana polskiej fantastyki. W świecie na pozór rodem z pozytywistycznych powieści wiek pary i elektryczności okazuje się być wiekiem pary, mechaniki, chemii i... zmysłowości!

BIERZ MNIE

antologia opowiadań zmysłowych pod redakcją **Dawida Juraszka**

Cielesne uciechy, gorące spojrzenia, złamane serca.

Ludzie pióra płci obojga kochają nie tylko książki, i nie z samej jedynie literatury czerpią rozkosz – są przecież przede wszystkim kobietami i mężczyznami. Autorki i autorzy niniejszej antologii spłodzili oto dziewięć śmiałych opowiadań o tym, co najbardziej ludzkie, choć często i obce, dla czytelniczek i czytelników otwartych na nowe doznania.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość łączą się tu z miejscami bliskimi i dalekimi, nauka i magia z intymnością i pożądaniem, a piękność z potwornością; egzotyka splata się ze swojskością, subtelność z dosadnością, a miłość z seksem.

Z tego mariażu narodził się zbiór pobudzający zmysły i podniecający wyobraźnię, ale też dający do myślenia – nie tylko w długą, bezsenność noc.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacną nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Kontynuacja losów młodych bohaterów w drugim tomie cyklu „Martwy chłopiec”.

Radek Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Pierwszy tom sagi powieściowej spod znaku fantastyki, science fiction i powieści drogi. Główny wątek „Strun czasu” stanowią zmagania niewielkiej średniowiecznej społeczności przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego. Słowiańscy wieśniacy trafiają w czasy, gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, wielkie jak góry mamuty, tabuny dzikich koni i ciągnące w ślad za nimi drapieżniki. W tym – prymitywni łowcy, dla których polowanie nie było sportem, ale walką o przetrwanie, i którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. To głównie oczami ich wodza Eryka obserwujemy toczące się wydarzenia. A wraz z nami widzami są ludzie z... przyszłości. Bowiem w tle tej pasjonującej historii toczy się inna i nie tylko ci temporalni podróżnicy, ale cała ludzkość – co tam ludzkość – cały wszechświat „staje” na krawędzi zagłady.

Kolejny tom sagi nosi tytuł „Yggdrasil. Exodus”.

Romuald Pawlak: RYCERZ BEZKONNY

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Ot, dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy.

Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu. Jak to na fantasy przystało.

Romuald Pawlak: CZAREM I SMOKIEM

Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wpłatać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydzwigną do pałacowych kajut, by znów stracić w piekielne otchłanie. Spotkane na drodze kobiety okażą się niebezpieczne, mężczyźni zechcą zabrać życie – i tylko spotkany w kolejnym więzieniu smok będzie rozumieć naszego maga.

Sojusz pogodnika ze smokiem zostanie zawarty w następujących celach: najeść się po uszy, mieć do spania wygodne łóżko, zdobywać piękne kobiety, zemścić się na Astrogoniuszu. Aha, i na podłym karle Garzfulu, który sprawił, że Rosselin został wygnany z pałacu. Jak z powyższego opisu widać, jest to śmiertelnie poważna opowieść o magii, smokach i trudach pracy zawodowej.

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY, cykl TEATR WĘŻY, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie spletają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, „Dwie karty” otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: „Pośród cieni” oraz „W mocy wichru”.

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los?

Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja leży gdzieś pośrodku.

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i sprytem czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Kiedy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Stare legendy czasem ożywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotę, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Martyna Goszczycka: ODRODZENIE

Tylko poświęcenie prowadzi do odrodzenia.

Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem. Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plage...

„Odrodzenie” to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji, rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni.

Kontynuacja losów bohaterów w drugim tomie Sagi Wizji Paradoksalnych „Potępienie”.

E. M. Thorhall: ZAMEK LAGHORTÓW

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu ZBROJNI pod tytułem: „Zamek Laghortów”.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Varthenu surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobłażać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

Dalsze losy bohaterów w drugiej części cyklu „Handlarze niewolników”.